Czubek periodyczny



Skład redakcji:

Bartłomiej Figura, Michał Maciąg

Nr 6/2015 27.05.2015

„Czubek wieńczy dzieło."

M. Maciąg

W dzisiejszym numerze:

Do tych, którzy nie zmieniają butów

Najmocniej przepraszamy, ale w Państwa szkole jest szatnia. Nie wiemy, jak to się stało. Jest nam z tego powodu niewymownie przykro, ale będą Państwo musieli znaleźć sobie inną szkołę. Wykaz szkół bez szatni, a także bez toalety i bez dachu (dla Afryki, na rok 1965) postaramy się opublikować w jubileuszowym, 777. numerze „Czubka periodycznego".

Redakcja

■

Antyelegia aragornijska \ Agonia Aragorna

Ciemności, mrok ogarnia,
jeszcze większy, mroczniejszy…
Łypie Oko, wzburzone
ryczy przeraźliwie, złe…..

W brudnym, czarnym
lesie, opryskanym błotem,
bije się Aragorn z orkami,
czy padnie pokotem?
Miecz chlasta, w lewo i w prawo,
zbyt ciężki i zbyt duży…
Dziesiątki orków, z brzękiem stali
i rykiem przeokropnym
Rzucają się na niego,
(któryż nim w kalendarz kopnie?)
I z tyłu! I z przodu!
Odbijać trzeba ciosy,
Boks po rycersku, bo
gdy utraciwszy tarczę
zaciśniętą pięścią rękawicy
po pyskach bije.
Ciemności, mrok ogarnia,
jeszcze większy, mroczniejszy…
Łypie Oko, wzburzone
ryczy przeraźliwie, złe…..

Blakhst!

Stanął Aragorn,

Rozważając palący ból

Zwierz-ork zachrumczał

Sam zdziwiony,

jak wryci,

stanął parszywy oddział

Och….. plamka krwi z ust wypłynęła

Obejrzał się, nic nie usłyszał

tylko swój oddech…

Wyrwał broń ork

Aragorn na plecy upadł

Plask, ciała o błotniste runo

Odeszli!... żołnierze Mordoru.

Zaległ, nie rusza się, drży

Oddech ma zblokowany

Raną, przebitą mieczem…..

Zimny, pośród mgieł oparów

Spoczął w czernistym lesie

Cisza, głos śpiewu kruka niesie

Kryształ łzy trzaska, o Rivendelską podłogę.

U stóp Aragorna krzak róży wyrasta,

i pnie się lekki, brokatowy

krwawego trupa oplata

wpierw wokół kostek,

następnie kolana

pnie się wyżej i wyżej

rozpuszcza pąki, otwiera kwiaty

I wianek, niby aureolę tworzy

Zasnąłeś Aragornie,

Snem od miecza

I nikt o ciebie nie wspomnie…..

Ciemności, mrok ogarnia,
jeszcze większy, mroczniejszy…
Łypie Oko, wzburzone
ryczy przeraźliwie, złe…..



Musowana Paranoja

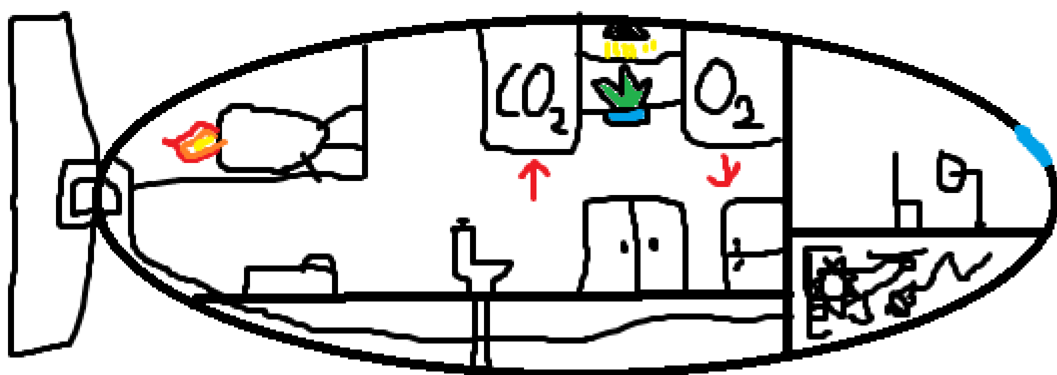
Pan fizozof, mądry kwantolog, również udzielam porad w sprawach sercowych i uboju zwierząt.

Fazowy abstrakt beta

Fazowy abstrakt alfa wykazał archimeidalną niestałość pomiędzywymiarową i potęgujący się nieskończenie wyciek czasu do kolejnych wymiarów. Niestabilność przejść międzyastralnych wskazuje na niebezpieczeństwo kumulacji nierządu czasowego w jednym z wymiarów, a co za tym idzie: brak ciągłego przepływu czasu. Czas przez fizykę kwantową i astrologiczną uważany jest za twór ciekły. Implikuje to jego uległość prawom fizyki i nierozerwalną jego z nimi więź. Prawo Pascala mówi o tym, że ciecz, gdy rośnie w niej ciśnienie, wywiera takie samo parcie na każdy element, w którym jest. Zapodajmy sobie roboczo sferę wymiaru jako **Ω1.** Kolejny wymiar to **Ω2**, **Ω3**, itd. Nasze omegi są trzema kolejnymi roboczymi wymiarami, przy czym każda omega jest wymiarem dodatnim, większym od zera. Dobrze wiemy, że wymiary ujemne „produkują" czas, a wymiary dodatnie większe od zera go „pochłaniają". Uznajmy roboczo dowolną czarną dziurę jako twór **β**. Nasz twór uznajmy za umiejscowiony w **Ω2**. Jego cykl to kolejno:

1. Zamknięcie dyszy wymiarowej, czas przestaje wyciekać do **Ω3**, zaś z **Ω1** czas wpływa do **Ω2** z prędkością N.
2. W **Ω2** czas jest konsumowany, jednak brak odpływu powoduje wzrost ciśnienia czasowego P w tymże wymiarze.
3. Ciśnienie czasowe P rozrywa dyszę wymiarową i czas wylewa się do **Ω3**.

Okres takiego cyklu to około 20 milionów lat, choć czas otwarcia dyszy wymiarowej to tylko około 0.00000005s, jednak w skali kosmologicznej, biorąc pod uwagę ilość czarnych dziur i wielkość kosmosu, praktycznie cały czas jest otwarta jakaś dysza. Teoria ta zgadza się więc z teorią stałości przepływu czasu w konstrukcie x. Jednak ostatnio w jednym z prestiżowych czasopism fizycznych, wydawanych przez katedrę pewnego prestiżowego instytutu astrologicznego opublikowano badania na temat czarnych dziur i zauważono tam pewien fenomen. Otóż jeden z tworów **β,** około 24000 lat świetlnych od nas, mikrokwazar V4641 Sagittarii niejako zablokował się w trzeciej fazie. Dzięki temu wyrwa czasowa wciąż jest otwarta. Podczas zwykłej przemiany z fazy 3 do 1 czas jest tak mały, że następuje przemiana adiabatyczna, zassana jest określona ilość czasu i materii, następnie faza się kończy. Jednak w przypadku Sagittarii wciąż zasysany jest czas i materia. I właśnie na to zwrócili oczy szefowie największych korporacji i prezydenci największych państw, a przede wszystkim fizycy, w tym skromny ja. Ja- posiadający ogromną wiedzę fizyczną, silnie podbudowaną doświadczeniami, po wielu latach współpracy z NASA, konstruktor statków kosmicznych dla USA i ZSRR, projektant dla prywatnych przedsiębiorstw lotów kosmicznych, chciałem tutaj podzielić się moim planem dotyczącym podróży do kolejnych wymiarów. Otóż najpierw należy zabrać się do obliczeń. Masa tworu roboczego wynosi $9{,}61^{+2,08}_{-0,98}$ masa drugiego składnika $6{,}53^{+1,6}_{-1,03}$. Po podstawieniu do kilku wzorów powstają nam dwa konieczne parametry do uwzględnienia. Przepustowość masowa: 17778568 kg/s oraz przepustowość czasowa: 46,54s/s. Dzięki temu znamy już parametry skrajne. Niestety, podpisałem umowę o nieudzielaniu informacji na temat projektów kosmicznych 4 kręgu fazy 0, dlatego też nie ujawnię tutaj ani wzorów, ani pewnych informacji na temat właściwości zachowania się obiektów w tworach **β.** Za pomocą najnowocześniejszych programów do projektowania kosmicznego (superkomputer obliczał ten kształt przez 47 godzin), stworzyłem projekt statku kosmicznego, który byłby w stanie wniknąć w strukturę tworu **β**.



Statek nazwany jest **CHOPP**[1] i służy do wchodzenia w czarne dziury. Posiada on wszelkie udogodnienia, w tym generator grawitacji, kibelek i pełną lodówkę. Układ tlenoprodukujący i inne podobne nowinki techniczne, w tym napęd czasowy pozwalający pokonać drogę do Proxima Centauri w sekundę. Jednak

[1] ang. **chop** – siekać, **chopper** – helikopter

koszt wytworzenia takiego statku to miliony monet, dlatego proszę Cię drogi czytelniku o wsparcie, czy to w formie drożdżówki dla autora artykułu (mnie), czy to motywacyjnego całusa (też dla mnie), czy chociaż drobny czek na milion złotych. Każda forma wsparcia, jest mile widziana. Każdy lajk to jedna parówka więcej w lodówce, a każde udostępnienie to jedna dwuatomowa cząsteczka tlenu na start więcej. Razem zbudujmy **CHOPP**!

■

Bartłomiej Figura

A jutro znowu wyjdę...

A jutro znowu wyjdę
przed budynek,
lecz znowu mnie okrzykną
mianem wariata,
również tzw. „swoi",
bo przecież psy nie latają,
chociaż już dawne nie było tutaj
żadnego psa,
ale są dalej, chociaż ich
nie widać.

A jutro znowu przyjdzie mi mówić
o rzeczach, których nie ma,
bo przecież ptaki nie mają skrzydeł,
a lwy nagle zaczną być jagniętami,
chociaż nic nie zmienią.
Ale psy nie latają,
bo nie mogą
latać.
Nie jest to w ich naturze,
a lwy są łagodne.
Łagodność
pożera,
pamiętajcie o tym.
Łagodność pożera,
a może…
jednak coś zrobicie.
Post scriptum
Ale nawet jeśli
psy nie latają,
a lwy wciąż macie
za jagnięcia.
Spójrzcie na datę.

24 maja 2015 r.

■

Bartłomiej Figura

Ta nasza Ameryka z łapanki

Ta nasza
Ameryka z łapanki,
to nasze
House of cards
wyrwane z przestrzeni,
które się ciągle zmienia
i ciągle się mieni,
to nasze
House of cards,
Frank Underwood.

Ta nasza
Ameryka
-pisana krwią
na kolanach
europejskich śmietników
londyńskich.

Ten nasz ciągły
Amsterdam
- „Moja Niderlandia”.

Na pobliskim
lotnisku,
gdy im sił nie starcza
sporządzą odrzutowiec
i odlecą w górę.
Ten nasz ciągły
Amsterdam,
który w Ameryce,
jak Frank Underwood.
To nasza
Ameryka wyrwana z łapanki.



Michał Maciąg

Opowieść o nocnym pociągu

Perłę Dolnego Śląska opuszczam około godziny 22.30, wraz z ostatnim mgnieniem reflektora zawieszonego na gzymsie stacji Wałbrzych Szczawienko. Jest noc z 12 na 13 lipca, słońce zaszło 45 minut temu. Oto zanurzam się w rzeczywistości polskich pociągów dalekobieżnych, porośniętych grubą i puchatą jak pleśń warstwą legend i stereotypów.

Siedząca po mojej lewej stronie dama zamaszystym ruchem zaciąga zieloną zasłonkę z tu i ówdzie połyskującym logo PKP Intercity. Odtąd będę jechał nie tylko tyłem do kierunku jazdy, lecz również bez możliwości podziwiania oświetlenia mijanych stacji. Może dzięki temu lepiej skoncentruję się na bliższym otoczeniu, od którego podobno łatwiej jest rozpocząć proces poznania. Ewentualnie zasnę, a ponieważ w moim drugoklasowym przedziale nie ma profilowanych zagłówków, mimowolnie będę podróżował oparty na ramieniu pani po lewej bądź pani po prawej. Ta po lewej bardziej na to zasługuje, ale ta po prawej wydaje się bardziej miękka i – co istotne – mniej mówi. Być może także już śpi, ponieważ jest oparta o pana siedzącego przy drzwiach, który z kolei nieruchomo ogląda odbite w przeciwległym lustrze lustro znajdujące się nad jego głową. Owo lustro powtórnie odbija obraz z lustra zawieszonego naprzeciwko i tak w nieskończoność. Podróżnemu wydaje się, że jedzie niesamowicie długim pociągiem, w którym każdy przedział ma wycięte okno, prowadzące do następnego przedziału. I jeśli dobrze wytęży wzrok, zauważy, że w każdym przedziale są ci sami ludzie, z nim włącznie. Bez wyraźnej przyczyny zaglądam do owej wielodennej, samopowtarzalnej studni. Każde z moich *alter ego* wygląda tak samo niepoważnie, ma wymiętą koszulę i nie myło włosów od czterech dni. Gdybym do tej chwili był zwolennikiem klonowania, natychmiast stałbym się jego przeciwnikiem. Zastanawiam się nad pomysłem ufundowania darmowego przejazdu koleją aktywistom popierającym ten rodzaj inżynierii genetycznej.

W trosce o własne zdrowie psychiczne, obiecuję sobie nie patrzeć więcej w lustro. Tym bardziej, że pan, który ustawicznie to robi, nie wygląda już najlepiej. Zaczynam przyglądać się uroczej, młodej pani, która odkąd tu wszedłem, czyta własny bilet, całkowicie pochłonięta orgią kropek literotwórczych. Ja swoim biletem znudziłem się już na dworcu, więc po kryjomu przyłączam się do jej lektury. Po przysługującej jej uldze ustawowej

w wysokości 51% wnioskuję, że jest studentką. Ponadto, jedzie ze Szklarskiej Poręby do Warszawy. Cóż, i tak za chwilę pewnie ją o to zapytam, ponieważ dyżurny temat aktualnej pogody jest niemożliwy do poruszenia z powodu zasłonki. Zresztą sprowadzałby się on wyłącznie do odkrycia braku deszczu. Mogę jeszcze wdać się w rozmowę z podróżną, która publicznie snuje opowieści o remoncie mieszkania w Jeleniej Górze. Zastanawiam się, czy jeśli w wyborze partnerki do rozmowy będę kierował się jej walorami estetycznymi, zasłużę na moralny lincz jako szowinista, któremu jedno tylko w głowie i bynajmniej nie jest to remont. Świat wpędza mnie w poczucie winy.

Ostatecznie mimo wszystko ulegam pokusie i decyduję się zagadnąć siedzącą naprzeciwko mnie studentkę. Oto z zaangażowaniem opowiada mi, że studiuje w Lublinie, ale mieszka w Siedlcach, dlatego jedzie do Warszawy. Przy okazji prosi mnie o podanie jej niewielkiego bagażu zwisającego z półki nad moją głową. Bagaż jest zaskakująco ciężki i zaczynam tracić równowagę, przed czym ostatecznie chroni mnie przeciwległa półka. Okazuje się, że w Szklarskiej można natknąć się na... śliczne kamyki. Ja w Wałbrzychu znalazłem tylko węgiel. Zostawiłem go jednak przy biedaszybie, z którego pochodził. Dzięki mojej wspaniałomyślności ktoś wypije gorącą herbatę albo zimne piwo. Zastanawiam się nad sensem likwidowania biedaszybów przez służby miejskie. Jeśli chodziłoby o bezpieczeństwo górników – amatorów, teraz należałoby jeszcze okratować wszystkie okna, przez które mogą wyskoczyć zdesperowani bezrobotni, pozbawieni źródła ciężkiego, ale koniecznego zarobku.

We Wrocławiu do naszego wagonu wsiada zorganizowana grupa młodych panów, prawdopodobnie kibiców bądź zawodników jakiegoś klubu sportowego, o czym przekonuje mnie docierająca z korytarza charakterystyczna gwara środowiskowa. Przypomina mi się stary kolejarski dowcip o zwierzętach pociągowych, jednak w tym przypadku nie są to pluskwy, a pokaźne stado osłów. Niemniej jednak, warto posłuchać emitowanych w sąsiednim przedziale nowin ze świata polskiego sportu. Niepokoi mnie przewijający się w dyskusji temat wysokiego wskaźnika homoseksualizmu wśród sędziów, trenerów, zawodników Górnika i kibiców tegoż.

Jeszcze przed Brzegiem swoją obecnością zaszczyca nas wędrowny sprzedawca piwa jasnego o usmarowanych czymś czarnym dłoniach i twarzy rasowego troglodyty. Z jego usług korzysta towarzystwo z trzech sąsiednich przedziałów i już po paru minutach słyszę brzęk toczących się po korytarzu pustych butelek. Dźwięk ten od zawsze działał na mnie usypiająco, jednak studentka, z którą przed chwilą jeszcze rozmawiałem, chrapie zbyt głośno

i aktualnie zasnąć nie mogę. Butelki przemierzają długość wagonu za każdym razem, kiedy pociąg hamuje lub przyspiesza. Zarówno pełna, jak i pusta butelka może stać się przyczyną czyjegoś upadku. I czasem jest to upadek na podłogę wagonu, a czasem na dno społecznej hierarchii.

Tymczasem zaczynam odczuwać narastającą potrzebę skorzystania z toalety. Z myślą o czekających mnie niedogodnościach przez cały dzień starałem się ograniczyć spożycie płynów, jednak całkowite oszukanie organizmu było niemożliwe. Około godziny 0.30 wychodzę z przedziału i udaję się na koniec wagonu położony z dala od przedziałów z sympatycznymi panami. Niestety, tamtejsza toaleta jest zamknięta. Postanawiam przejść do kolejnego wagonu, jednak próba kończy się fiaskiem z powodu łańcucha z kłódką na drzwiach. Niechętnie cofam się i przechodzę na feralny drugi koniec wagonu. Przed toaletą czeka już kolejka piwoszy. Na drzwiach do następnego wagonu znów dostrzegam łańcuch, tym razem po drugiej stronie szyby. Być może ze względu na zagrażające bezpieczeństwu podróżnych zachowanie ludzi sportu nasz wagon został zamknięty, *„żeby hołota się nie rozlazła”*. Demokracja opiera się na rządach większości. W akcie desperacji grzecznie ustawiam się w kolejce. Na szczęście panowie są pochłonięci ożywioną rozmową we własnym gronie. Po chwili kolejka ustawia się również za mną.

Kwadrans później wchodzę do toalety. Podłoga jest pokryta warstwą cieczy na całej powierzchni. Sprawdzam, czy moje sznurówki nie dotykają podłoża i zamykam drzwi. Finalizując przygodę z ubikacją, przystępuję do mycia rąk. Podstawiam je pod kran, a następnie mokrą podeszwą zaczynam naciskać śliski, metalowy pedał pompki. Brak reakcji ze strony kranu jest niezwykle irytujący, co wywołuje u mnie jeszcze bardziej intensywne wciskanie pompki. Naraz woda wytryskuje z ogromnym ciśnieniem, ochlapując mi spodnie w kroku. Oczywiście, mam na sobie spodnie „idealne do letnich wycieczek”, czyli jasne i bardzo cienkie. Ślady po kroplach zaczynają zlewać się w jedną rozległą plamę. Przez myśl przechodzi mi idea czekania na samowyschnięcie, ale kolejka przed drzwiami generuje zbyt dużą presję. Z braku ręcznika papierowego wycieram ręce o koszulę i wychodzę, przeciskając się tyłem do oczekujących. I zastanawiam się, czy potencjalna kompromitacja przed nieznaną mi masą ludzi powinna aż tak mnie przerażać. Co prawda, nie da się wykluczyć, że ktoś z tamtej kolejki będzie kiedyś moim pracownikiem albo – przy dalece posuniętej ironii losu – moim pracodawcą.

Konieczność powrotu do przedziału stawia mnie przed dylematem. Ponieważ siedzenia znajdują się po obu stronach, w zależności od mojej pozycji plamę na spodniach zauważy od trzech do ośmiu osób. Decyduję się poczekać na korytarzu aż wyschnę albo – aż wszyscy zasną, na co się nie zanosi. Ostatecznie wysycham i w Opolu wracam na miejsce. Już po przyjęciu pozycji siedzącej uświadamiam sobie fakt, że plamę mogłem ukryć, wypuszczając ze spodni koszulę. Trzeba było przyjąć, że prymitywne rozwiązania są najlepsze, nie zaś, że najlepsze rozwiązania są prymitywne.

W czasie postoju do naszego przedziału zagląda elegancka pani w wieku około lat trzydziestu i z ultrapoprawną wymową pyta:

– Przepraszam państwa, czy ten pociąg jedzie do Kędzierzyna – Koźlęcia?

Brak spontanicznej reakcji pozostałych podróżnych powstrzymuje mnie przed wybuchem śmiechu. No cóż, dla nich pociąg zapewne równie dobrze mógłby jechać do *Bydgoszcza* albo nawet do *Białystoka.* Ktoś odpowiada twierdząco, a pani odchodzi w swej nieświadomości.

(...)Górnośląski Okręg Przemysłowy łagodnie kołysał mnie falistymi torami, a delikatne światło jarzeniówki zlewało się z blaskiem świateł dworców, mglistą smugą przeciskających się przez powiewającą zasłonkę. Wkrótce zacząłem pogrążać się w błogim letargu(...)

Nagle w bezlitosny sposób budzi mnie konduktor. Niestety, bilet zdążyłem już umieścić w portfelu wciśniętym w saszetkę umieszczoną w plecaku, który leży na półce. Proces odzyskiwania uprawnień do przejazdu całkowicie wysysa ze mnie resztki snu i teraz jestem już tylko głodny. Po poddaniu się kontroli zaczynam spożywać pączka, znalezionego onegdaj w koszu z piekarniczymi *zrzutami*, czyli żywnością nie pierwszej świeżości, przeznaczoną do jak najszybszego wyprzedania po atrakcyjnej cenie 30 groszy za cokolwiek lub 10 groszy za bułkę. Czuję rozpływający się w ustach tłuszcz i ciągnącą się marmoladę. Jedynie przyklejona do lukru skórka z pomarańczy smakuje właściwie, chociaż pod względem wizualnym nieco przypomina skwarki. Popijam całkowicie odgazowaną lidlowską oranżadą, przelaną przed tygodniem z dużej butelki do trzech mniejszych. Zastanawiam się, ile osób, podobnie jak ja, robi zapasy żywności przed wyjazdem do obcego miasta, a potem, zajadając się czterodniową kajzerką z Suwałk odkrywa, że w Warszawie również istnieją piekarnie...

Pociąg zatrzymuje się przeciętnie co dziesięć minut, przeciętnie na dziesięć minut. W międzyczasie nieco zmienił się skład naszego przedziału. Ryk z przedziałów sąsiednich

ucichł zupełnie i słyszę już tylko monotonne rozmowy z korytarza oraz turkot małych, plastikowych kółeczek od walizek biegających po wagonie podróżnych przy akompaniamencie awangardowej kakofonii podwozia. Do moich uszu dociera również przeciągłe chrapanie studentki, która jakiś czas temu przebudziła się po to, by podłożyć sobie pod głowę niedużą, polarową poduszkę, wyciągniętą z plecaka (tenże, rzecz jasna, musiałem jej podać, a potem odłożyć z powrotem). Każda pora jest dobra na refleksje, ale tym razem nie skorzystam z okazji. Trudno jest ogarnąć świat, jeszcze trudniej pociąg, a najtrudniej – samego siebie.

Zaczyna świtać. Przede mną jeszcze pięć godzin podróży.



Michał Maciąg

Wiersz o przemijaniu (356)

Ona z Grójca, on z Grodziska,
nawet nie wiedzieli.
Jak wjechali do Skarżyska,
to się przeminęli.

On wyleciał z autobusu,
konduktor go zwinął.
Nie mógł dojść do konsensusu,
bilet mu przeminął.

Gdy pytali go o dane,
wiodąc krętym traktem,
podał dane zakłamane,
przeminął się z faktem.

Ona w Jaśle, on w areszcie
dzień zakończył laniem.
A wy łzę urońcie wreszcie
nad tym przemijaniem.



Zapraszamy do zgłaszania własnych publikacji. Czekamy na Państwa teksty i rysunki. Propozycje publikacji oraz ewentualne pytania i komentarze prosimy kierować pod adres:

szanowny.redaktor@gmail.com